

# Republika Listów 2.0

W XVII wieku tysiące naukowców, pisarzy i intelektualistów utworzyło gęstą sieć wymiany informacji, z czasem nazwaną Republiką Listów. Tysiące osób pisało do siebie dziesiątki tysięcy wiadomości, intensywnie wykorzystywano też relatywnie wówczas nowy wynalazek, jakim była prasa drukarska. Te intensywne działania komunikacyjne generowały w ich zbiorowej świadomości ponadnarodową społeczność ludzi wiedzy – metaforyczną Republikę. Patrząc na wizualizację sieci wymiany listów, trudno nie oprzeć się wrażeniu, że Republika była zjawiskiem protointernetowym.

Wspominam o niej, bo jest ona dowodem, że nowoczesna nauka ma w swoich genach zarówno potrzebę swobodnej wymiany wiedzy, jak i bycia w awangardzie działań komunikacyjnych. A także dlatego, że internet daje nam szansę, by ideały tej Republiki wdrożyć na nowo. O tej oczywistej genealogii łatwo zapomnieć, patrząc na polską naukę. Uogólniając, można stwierdzić, że naukowcy w niewielkim stopniu i z niechęcią korzystają z najnowszych form komunikacji. Przede wszystkim dlatego, że wymiana przestała być dla wielu wartością – generują wiedzę głównie po to, by uzyskać punkty oceny parametrycznej. Problem tkwi również w samym systemie nauki. Jego reforma nie objęła procesów elektronicznej komunikacji naukowej.

Trwa oczywiście proces przechodzenia tytułów do środowiska cyfrowego. Powstają też biblioteki cyfrowe, a nawet repozytoria publikacji naukowych. Dzieje się to jednak powolnie. Można odnieść wrażenie, że redakcje są niczym plażowicze nad wiosennym morzem, powolutku zanurzający stopy w zbyt zimnej wodzie. Standardem jest publikacja papierowa, nadal traktowana jako miara jakości i renomy naukowca. Sytuacja wygląda różnie w zależności od dyscypliny, ale publikacje nawet najważniejsze, o ile nie są publikowane w czasopiśmie zagranicznych, często są w sieci niedostępne – lub pojawiają się jedynie w portalach wykłędnych, takich jak Chomikuj.pl.

Tymczasem na świecie trwa rewolucja pod hasłem Otwartego Dostępu do wiedzy. Jej postulat nie jest rewolucyjny z punktu widzenia tradycji naukowej: wyniki badań winny być udostępniane swobodnie, bez ograniczeń prawnych, technicznych bądź finansowych. Rozwijane od dekady modele otwartego dostępu wskazują nawet, jak mogą koegzystować z formami publikacji naukowej. Podstawowa intuicja jest jednak oczywista: wielcy, komercyjni pośrednicy, którzy okazali się niezbędni dla rozwoju nauki w XX wieku, przestają być optymalni wraz z popularyzacją Internetu. Co gorsza, traktując nowe modele jako konkurencję, blokują ich rozwój.

W Polsce w ostatnich latach wiele się zmieniło w kwestii popularyzacji nowych modeli wymiany wiedzy. Idea Otwartego Dostępu, wcześniej praktycznie nieznaną, jest obecna w wielu dyskusjach o funkcjonowaniu nauki. W ostatnich tygodniach minister nauki i szkolnictwa wyższego Barbara Kudrycka wyraziła przełomową deklarację, że jej resort zamierza wdrożyć do systemu nauki zasady otwartego dostępu do wyników badań naukowych. To jednak na razie sfera deklaracji.

Praktyka wygląda już nie tak dobrze. Mamy wprawdzie rosnącą liczbę czasopism działających w modelu Otwartego Dostępu, ale już otwarte repozytoria można policzyć na palcach jednej ręki, a ich rozmiary nie są imponujące.

Sytuacja wymaga zmiany natychmiastowej i jest ku temu wiele powodów. Jesteśmy jako kraj „importerem netto” wiedzy, więc w naszym interesie leży zapewnienie sobie jak najbardziej swobodnego i taniego do niej dostępu. Ma to również wymierne skutki dotyczące oceny jakości badań, wykrywania plagiatów czy efektywności wydatkowania środków publicznych, z których finansowana jest tak duża część badań i publikacji.

Unia Europejska w strategii Horizon 2020 jeszcze mocniej opowiedziała się za Otwartym Dostępem niż nasz rząd. Jest więc niemal pewne, że ostatecznie nowe standardy zostaną w Polsce wprowadzone, ale odbywać się to będzie nadal w niezbyt szybkim tempie. Można oczywiście założyć, że to naukowcy powinni podjąć działania oddolnie. Widać zresztą rosnący potencjał zmiany: petycję na rzecz otwartości nauki podpisało w tym roku ponad 13 tysięcy osób, otwartość jest jednym

z postulatów ruchu Obywateli Nauki, a nieformalne koalicje zawiązały się niedawno na uniwersytetach Jagiellońskim i Warszawskim. Taka zmiana jest jednak trudna i powolna, jeśli nie uzyska wsparcia instytucjonalnego. Dlatego cieszą ostatnie deklaracje MNiSW. Niezbędne jest jednak poparcie idei przez kluczowe instytucje naukowe. Smuci mnie więc fakt, że instytucja tak zasłużona jak Fundacja na rzecz Nauki Polskiej w kwestii Otwartego Dostępu formułuje stanowisko ambiwalentne. Wielką rolę w tej kwestii ma oczywiście do odegrania Polska Akademia Nauk.

Przy tym wszystkim ważniejsze od nowych narzędzi są nowe reguły instytucjonalne. Według mojej wiedzy obecnie oficjalne strategię otwartości są przyjęte w Polsce jedynie

w dwóch instytucjach: Instytucje Biochemii i Biofizyki PAN oraz Instytucje Kultury Polskiej UW. Potrzeba ich o wiele więcej.

Jest jeszcze jeden powód, by jak najszybciej oficjalnie wdrożyć nowe modele komunikacji. Najmłodsze pokolenia badaczy oraz studenci wprowadzili już bowiem te modele w życie dobrych kilka lat temu, nie oglądając się na oficjalne zasady. Ich Republika Listów jest jednak piracka – wiedza magazynowana jest w szarych strefach, a nawet na czarnych rynkach. Słyszałem już kilku młodych naukowców przyznających wprost, że nie napisaliby doktoratu bez bogatego zbioru pirackich PDF-ów.

Owi młodzi naukowcy intuicyjnie rozumieją nowe modele komunikacji i wiedzą, jak je wykorzystać w służbie nauki. Trzeba tylko zabrać im balast XX-wiecznych instytucji, nawyków i modeli wydawniczych. Nie ma bowiem powodu, by trzeba było szukać nawiązań nie tylko do Republiki Listów, ale też do „drugiego obiegu” publikacji w Polsce przed 1989 rokiem.

Aleksander Tarkowski  
Dyrektor Centrum Cyfrowego „Projekt Polska”  
atarkowski@centrumcyfrowe.pl



**Konieczny jest nowy model wymiany naukowej wykorzystujący nowoczesne formy komunikacji elektronicznej, który zapewni otwarty dostęp do wiedzy**